

## Labirynt iluzji

Toruński "Mulholland Drive" jest miejscem, w którym rzeczywistość miesza się ze snem, niepokoi i fascynuje jednocześnie. Zdecydowanie warto wybrać się na ten spektakl i zanurzyć w labiryncie (nie)teatralnych iluzji - o spektaklu Teatru im. Horzycy w reżyserii Katarzyny Trzaski, Edyty Wróblewskiej i Macieja Marczewskiego pisze Barbara Pitak-Piaskowska z Nowej Siły Krytycznej.



Ostatnimi czasy dużo Davida Lyncha w Toruniu. Wystarczy przypomnieć otwieraną przez niego osobiście wystawę "David Lynch. Silence and Dynamism" w Centrum Sztuki Współczesnej w ramach festiwalu Camerimage 2017, odbywające się tam spotkanie znawców filmu dotyczące nowej części kultowego serialu "Twin Peaks" czy wreszcie premierę Teatru im. Wilama Horzycy opartą na filmie "Mulholland Drive". Szeroko ją reklamowano w mediach zaznaczając, że twórcy eksplorują "język artystyczny na pograniczu teatru i filmu" oraz poszukują "nowych sposobów komunikacji z publicznością". Jednocześnie zaznaczono, że ilość planowanych spektakli jest ograniczona, co spotęgowało atmosferę zaciekawienia i niepewności.

Lyncha określać możemy mianem postmodernistycznego ironisty, wizjonerskiego odkrywcy nieświadomości czy transgresywnego neokonserwatysty... Jakkolwiek jednak nie określilibyśmy twórcy "Mulholland Drive", bezsprzecznie uznać należy, że na każdym kroku bawi się z widzem konwencją. Wszecchobecna ironia względem kina, gatunku, historii utrudnia (wręcz uniemożliwia) racjonalną interpretację jego dzieł. Lynch sprawia, że granica pomiędzy prawdą a fikcją przestaje być ostra.

Toruńskie przedstawienie charakteryzują te same cechy, a przestrzeń, w której granice zostają zatarte staje się teatr. Spektakl jest niejednorodny, co w tym konkretnym przypadku działa na jego korzyść. To "opowieść o iluzji ludzkiej tożsamości (a także iluzoryczności samej sztuki), ubrana w formę eleganckiej wizualnie historii ukazującej demony i przekleństwa Miasta Aniołów". Składa się z trzech części - trzech scen, każda w reżyserii innej osoby: Katarzyny Trzaski, Edyty Wróblewskiej, Macieja Marczewskiego. Bodaj wszyscy stawiający pierwsze kroki w reżyserii stworzyli światy odmienne, acz współistniejące ze sobą. Dobrze, że nie zdecydowali się wyłącznie kopiować Lyncha (to z góry byłoby skazane na niepowodzenie), lecz inspirując się jego estetyką, bazując na stworzonej przezeń opowieści i wykorzystując teatralną materię - w przenośni i dosłownie - stworzyli widowisko bez linearnej narracji. Widowisko wyjątkowe pod względem teatralnego doświadczenia.

Publiczność zostaje podzielona na trzy grupy, każda określona innym kolorem. Wybrałam zielony i za panią w zielonej peruce podążałam labiryntem teatralnych korytarzy i zakamarków. Jakkolwiek dziwnie by to nie zabrzmiało, trzeba to wyraźnie zaznaczyć - podczas spektaklu dużo się chodzi. Grupą przemierzaliśmy się z jednego miejsca do kolejnego, ponieważ poszczególne sceny działy się w różnych przestrzeniach budynku. Przynależność do grupy determinowała kolejność, w jakiej zostały nam zaprezentowane poszczególne sceny "Mulholland Drive". Zostaliśmy zaproszeni do groteskowego świata, w którym śmiech miesza się z niepokojem. Każdy widz z osobna staje się nie tyle obserwatorem, co świadkiem teatralnych zdarzeń. Stara się podążać za przedstawianą historią,

co jednak ostatecznie skazane jest na niepowodzenie. Niemniej jest w tym świecie coś pociągającego. Można go wielokrotnie odtwarzać, skrupulatnie układać w głowie, przekładać niczym puzzle nie mając jednak pewności czy uda się dotrzeć do jego istoty.

Z żonglerką teatralną konwencją aktorzy poradzili sobie dobrze - na wyróżnienie zasłużyli Niko Niakas i Michał Marek Ubysz, którzy z lekkością, bez zbędnego "teatralizowania" odnaleźli się w części zatytułowanej "Betty" (pozostałe części to "Diane" i "Adam").

Trzeba też wspomnieć o mistrzyni ceremonii, w którą wcieliła się Anna Romanowicz-Kozanecka. To do niej de facto należy pierwsze i ostatnie słowo spektaklu. Ona otwiera konwencję, po czym celowo konwencja ta zostaje zachwiana przez strukturę całości, by znów przeistoczyć się w kolejną konwencję. Sen we śnie to równoległa konstrukcja. Postaci, podobnie jak towarzyszący im widzowie budzą się ze snu, a później odkrywają, że to wciąż marzenie. To zaś generuje poczucie niestabilności i wielorakie poziomy iluzji.

Toruński "Mulholland Drive" jest miejscem, w którym rzeczywistość miesza się ze snem, niepokoju i fascynuje jednocześnie. Zdecydowanie warto wybrać się na ten spektakl i zanurzyć w labiryncie (nie)teatralnych iluzji.

\*\*\*

Barbara Pitak-Piaskowska - doktor nauk humanistycznych, teatrolożka i kulturoznawczyni, członkini Polskiego Towarzystwa Badań Teatralnych oraz stały współpracownik Centrum Badań nad Teatrem Muzycznym Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu. Autorka sztuk teatralnych, prac naukowych i recenzji.

Barbara Pitak-Piaskowska

Materiał własny

12-01-2018